

# PORAŻONY ŻYCIEM

JAK  
WYJECHAĆ  
Z PIEKŁA



RAFAŁ MISZKIEL

EWA RACZYŃSKA



**RAFAŁ MISZKIEL**

**EWA RACZYŃSKA**

# **PORAŻONY ŻYCIEM**

**JAK WYJECHAĆ Z PIEKŁA**



  
**OTWARTE**  
Kraków 2022

# Spis treści

## ROZDZIAŁ 1

Kim byłem przed wypadkiem 7

## ROZDZIAŁ 2

Z niego nic nie będzie 23

Swojego fizjoterapeuty warto szukać do skutku 24

## ROZDZIAŁ 3

Jeżdżę na dwóch kółkach. Kto tak potrafi? 29

## ROZDZIAŁ 4

Korzystanie z toalety to nie taka prosta sprawa 31

## ROZDZIAŁ 5

Moje pierwsze trzy setki 33

## ROZDZIAŁ 6

Pierwsza podróż pociągiem 35

## ROZDZIAŁ 7

Jestem królem życia 37

## ROZDZIAŁ 8

Naciągnięty na protezę 39

## ROZDZIAŁ 9

Youtuber pełną gębą 41

## ROZDZIAŁ 10

Odważ się na zmiany 43

## ROZDZIAŁ 11

Jestem samodzielny! 45

Jak poruszać się na rynku pracy z orzeczeniem o niepełnosprawności? 46

## ROZDZIAŁ 12

Życie w Warszawie 49

Jak wygląda skok ze spadochronem osoby z niepełnosprawnością? 50

## ROZDZIAŁ 13

Sport uratował mi życie 53

Ekstremalne sporty dla ekstraludzi 54

## ROZDZIAŁ 14

Podróż do Anglii 57

Kody IATA 58

## ROZDZIAŁ 15

Co z tym seksem? 61

Seks i osoby z niepełnosprawnościami!?  
A co w tym dziwnego? 62

## ROZDZIAŁ 16

Chorwacja 65

## ROZDZIAŁ 17

Historia zatacza koło 67

ROZDZIAŁ

# 1

## Kim byłem przed wypadkiem



Biegnę. Jest ciemno, a ja chcę uciec jak najdalej od miejsca, w którym przed chwilą mnie pobito i upokorzono. „Dlaczego ja?” – pytam samego siebie. Wracają te wszystkie czarne myśli: „Pewnie znowu nie zdam do następnej klasy, kolejna dziewczyna mnie zdradziła, rodzice będą wściekli. Właściwie po co ja żyję? Nic mi w życiu nie wychodzi”. Świadkowie mówią, że bardzo szybko wspiąłem się na stęp wysokiego napięcia i tak samo szybko z niego spadłem...

\*\*\*

Suwałki. Duże osiedle, dwupokojowe mieszkanie na czwartym piętrze, a w nim ja, starszy o dwa lata brat i rodzice. Przeciętna polska rodzina. Wychowuję się w bardzo katolickim domu, wręcz fanatycznie religijnym, pewnie dlatego Kościół od zawsze kojarzy mi się z zakazami i agresją, bo gdy nie idę na mszę, rodzice krzyczą, a kiedy do naszego mieszkania trafia obraz Matki Boskiej, który wędruje akurat od drzwi do drzwi mieszkań naszego osiedla, nie mogę grać w weekend na konsoli.

– Ale dlaczego nie mogę grać? – pytam ojca.

– Bo Matka Boska patrzy – odpowiada.

Rodzice wychowują mnie dość twardą ręką, dyscyplina i posłuszeństwo to podstawa, a jak nabroisz – czeka na ciebie pas.

Kiedyś miałem do nich pretensje o to, że byli tacy surowi, dziś nasze relacje są dobre, ale też ciągle się zmieniają, ciągle się od siebie uczymy.

Przyznaję, że ja też zafundowałem im niezłą szkołę życia. A w dzieciństwie buntowałem się przeciwko temu, co próbowali mi narzucić. Już jako siedmiolatek deklarowałem, że nie wierzę w Boga.

W szkole podstawowej raczej nie jestem lubiany. Nie mam kolegów ani przyjaciół. Wręcz przeciwnie, staję się często obiektem żartów, zaczepek, wyzwisk i nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Przecież nikomu nic złego nie robię, ale fakt, odstaję od reszty. Nie chcę uciekać z lekcji, bo wizja kary w domu za wagary skutecznie mnie do tego zniechęca. Nie idę z kolegami palić po kryjomu papierosów czy dla zabawy rzucać kamieniami w płatające się po osiedlach koty lub psy. Później, w starszych klasach, nie chcę popijać piwa w krzakach.

Na zaczepki, popychania, poniżanie nie pozostaję obojętny. Budzi się we mnie agresja, która narasta i czasami daje o sobie znać, jak wtedy, gdy jeden chłopak próbuje mnie pobić, a ja łapię go za głowę i uderzam nią o ścianę. Nie jest to najmądrzejsze, co mogę zrobić, ale potem na jakiś czas mam spokój od szkolnych kolegów.

Nie jestem wybitnym uczniem, raczej przeciętnym. Gdy trafiam do gimnazjum, moje relacje z rówieśnikami właściwie się nie zmieniają. Zmieniam się jednak ja. Zaczynam interesować się sportem, trochę ćwiczę, ale przede wszystkim czuję, jak narasta we mnie bunt. Nie chcę być taki, jak wszyscy, nie chcę też być ofiarą szkolnej przemocy i systemu edukacji z główną zasadą: „nauczyciel mówi – uczeń słucha”. Nic więcej nie ma znaczenia, a nauczyciele starają się nie widzieć konfliktów między uczniami, by nie musieć zajmować się ich rozwiązywaniem. Za to grono pedagogiczne ma w każdej klasie kozła ofiarnego, czarną owcę, kogoś, o kim można powiedzieć: „No tak, wiadomo, ten znowu coś przeskrobał”.

W mojej klasie w gimnazjum jest chłopak – klasowy błazen, którego wszyscy lubią i traktują trochę jak maskotkę. Moi rówieśnicy sztucznie, przez plotki, pomówienia i manipulacje wywołują konflikt między mną

a nim, co kończy się tym, że organizują nam ustawkę – mamy się bić po lekcjach. To będzie moja pierwsza bójka. Jak się okazuje, jego również.

Przed wyjściem ze szkoły, wiedząc, co mnie czeka, wchodzę jeszcze do toalety i tam spotykam gościa, z którym mam się zaraz bić.

– Ty, Rafał, możemy się nie bić, powiedz innym, że się boisz. I sobie pójdziesz – zagaja.

– Zwariowałeś? Nie ma takiej opcji! Dawaj, idziemy.

Nie mogę wyjść na tchórza, bo wtedy już w ogóle nie miałbym życia.

W łasku niedaleko szkoły stajemy naprzeciwko siebie, a wokół nas gromadzą się żądni krwawej jatki rówieśnicy. Sprzedajemy sobie po kilka tak zwanych strażów, które nie mają dla nas większych konsekwencji. Po kilku minutach bójki trudno jest rozstrzygnąć, kto wygrał, więc podajemy sobie ręce na znak zgody i rozchodzimy się. Na drugi dzień w szkole po raz pierwszy czuję, że mam szacunek wśród rówieśników. Najwidoczniej byli pewni, że ucieknę i nie stanę do walki.

Po gimnazjum idę do technikum informatycznego. Ten etap edukacji i w ogóle życia wspominam całkiem dobrze. Nowi kumple, my trochę dojrzałsi, choć nadal dzieciaki. Chodzimy na domówki, bo przecież w tym wieku ludzie są ważniejsi niż szkoła. Na mnie to się szczególnie odbija, bo nie daję rady z nauką i zawalam pierwszą klasę. Jakoś specjalnie się tym nie przejmuję, choć rodzice są wściekli i dostaję zakaz wychodzenia z domu przez całe wakacje, jakby to miało coś zmienić. Im się wydaje, że zmienią.

Po nieudanym roku w technikum informatycznym w nowym roku szkolnym próbuję swoich sił w liceum mundurowym. To trochę spełnienie moich marzeń, bo zawsze kręciły mnie militaria. W ramach lekcji mamy zajęcia z żołnierzem, jeździmy do jednostek wojskowych na ćwiczenia i do akademii wojskowych na wycieczki, chodzimy na strzelnicę. „Chcę zostać żołnierzem” – huczy mi w głowie.



To naprawdę był wtedy mój cel, zresztą siebie z tamtego okresu nazwałbym głębokim patriotą. Chciałem być szeregowym wojskowym, dzierżyć broń i strzec granic naszego kraju. Dziś walka za kraj, który tak niewiele mi daje, to dla mnie abstrakcja.

W nowej szkole wyjątkowo nie lubi mnie nauczycielka matematyki. Tyle razy wywołuje mnie do odpowiedzi i wlepia mi tyle jedynek, że w końcu po raz drugi nie zaliczam pierwszej klasy. Tym sposobem trafiam ostatecznie do zawodówki, do klasy gastronomicznej. Nie narzekam, bo ten wybór wbrew pozorom wcale nie jest przypadkowy. Lubię gotować, często pomagam mamie w kuchni, w tym czasie piekę już sam ciasta. Szkoła mi się podoba, szczególnie kręcą mnie zajęcia praktyczne. Raz w tygodniu kupujemy produkty, a nauczyciel daje nam przepis, na podstawie którego gotujemy w szkolnej kuchni. Zaczynamy od rzeczy mało skomplikowanych, jak jajecznica, a później robimy nawet torty.

Suwałki to specyficzne miasto. Gdy byłem nastolatkiem, bycie cool oznaczało tam bycie tępym, bezrefleksyjnym dzieciakiem. Wpadałem wtedy w różne niezbyt ciekawe towarzystwa...

No więc mam te kilkanaście lat. Chłopaki imprezują, ćpają, piją, a ja od używek trzymam się z daleka.

– Dawaj, napij się, stary – namawiają kumple.

– Nie piję, bo trenuję, ziom – brzmi najczęściej moja odpowiedź.

Wtedy już regularnie chodzę na siłownię, gdzie w ramach treningu walczyliśmy czasami z kolegą w rękawicach. To on pewnego dnia rzuca:

– Chodzę na MMA, nie chcesz spróbować?

I tak zaczęła się moja przygoda ze sztukami walki. Sport był dla mnie wtedy codziennością, nie musiałem się do niego motywować. Biegałem, ćwiczyłem, bo miałem głębokie przekonanie, że dobra forma to zdrowy organizm i lepsze życie.

MMA okazuje się idealną formą rozładowania emocji i radzenia sobie z agresją czasami pojawiającą się u mnie i będącą wynikiem ciągłego buntu. Nabieram też pewności siebie, bo fajnie mieć świadomość, ile ma się siły i jak poradzić sobie z typem, który zaczepiłby mnie na ulicy. Niestety na jednym z treningów w czasie sparingowej walki przeciwnik ścisną mi kark tak mocno, że aż mnie wygina. Odskakuję i po chwili czuję, że drętwieją mi palce dłoni, mam też wrażenie, jakby coś mnie w te palce kłuło.



Ja, szesnastolatek

– Dobra, stary, nic mi nie będzie, nic się nie stało – mówię do lekko przestraszonego kumpla.

Zachowuję się jak dureń i nie idę do lekarza, choć przez miesiąc mam zaburzenia czucia w dłoniach. W końcu umawiam się na wizytę prywatną, na której padają słowa: „Jest ryzyko utraty władzy i czucia w rękach, bo kręgi uciskają rdzeń kręgowy na odcinku szyjnym”. Dostaję zalecenie odpoczynku, odpuszczenia treningów i rehabilitacji. Wychodzę od lekarza i rozpłakuję się, bo to przerażająca wizja. Ja mam być kaleką? Nie ma mowy.

Dziś z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że sztuki walki nie są zdrową formą uprawiania sportu, chyba że mówimy o etapie treningów i przygotowywania się. Jak się bijesz, to nigdy nie wiesz, co się może wydarzyć. Nawet na sparingu. Ktoś może cię tak uderzyć, że w konsekwencji ciosu i odniesionych obrażeń umrzesz. Sama walka jest niszczeniem własnego ciała, bo kiedy objasz swój mózg, a to właśnie się dzieje podczas walki, powstają mikrouszkodzenia. Gdybym teraz był pełnosprawny, na pewno nie wróciłbym do trenowania MMA.

Po tamtym niefortunnym sparingu leczę kontuzję kilka dobrych miesięcy. Może to i dobrze, bo nie wiem, co by się stało, gdybym dalej tak intensywnie trenował. Brakuje mi jednak sportu, trochę biegam, ale cały czas mnie nosi.

Prawda jest taka, że dojrzewanie to nie jest fajny czas. Szukasz, wątpisz, zastanawiasz się, co ze sobą zrobić, kim tak naprawdę jesteś, czego chcesz. W wieku osiemnastu lat byłem totalnie rozbity, często miewałem jakieś doły. Przymus odpuszczenia sportu sprawił, że musiałem trochę przysiąść na tyłku, wyciszyć się, zadbać o swoje zdrowie. To był taki czas refleksji. „Ogarnij się, zrób coś ze sobą” – takie myśli towarzyszyły mi niemal cały czas. Nim rozgryzłem własne życie, siebie i swoje potrzeby, korzystałem z nastoletniego życia, nierzadko pakując się w kłopoty.

Gdy mam piętnaście lat, zakochuję się po raz pierwszy – pierwsza dziewczyna, pierwszy seks. Ma na imię Ada. Jestem młody i głupi, w dodatku bez własnego zdania. To taka szczenięca miłość, którą, jak wiadomo,

każdy nastolatek traktuje śmiertelnie poważnie, a jeszcze poważniej podchodzi do tego, co mówią znajomi. Zależy mi na tej dziewczynie, ale kole-dzy i koleżanki opowiadają mi o niej różne złe rzeczy, w które oczywiście wierzę, nie próbując nawet dowiedzieć się, czy to prawda. Zrywam z Adą.

Jestem bardzo kochliwy, więc kolejna miłość nadchodzi dość szybko. Dziewczyna ma na imię Aneta, a nasz związek trwa niecałe pół roku. Pamiętam, że gdy byliśmy razem, potrafiłem wydać na prezerwatywy całe miesięczne kieszonkowe.

Przyznaję, że do momentu kontuzji na treningu prowadziłem dość im-prezowy styl życia. Jeździłem z kumplami po klubach, podrywałem dziewczyny, czasami wypłem trochę alkoholu. Miałem pecha i trafiałem na konfliktowe sytuacje. Bywało, że biłem się z przypadkowymi chłopakami, ale nigdy z własnej inicjatywy.

Pewnego razu w Suwałkach wychodzę z klubu z kumplem. Jest pijany, więc chcę go odprowadzić do domu, bo ma jakieś dwa kilometry na piechotę, a mi zależy, żeby bezpiecznie wrócił. Idziemy, a z naprzeciwka nadchodzi chłopak z dziewczyną. On jest dość mocno pod wpływem alkoholu, bo zarzuca go tak, że wpada na mojego kumpla. Niefart polega na tym, że w ręce trzyma kebab, więc sosy, pomidor, mięso – wszystko ląduje na moim ziomku.

– Wytrzymaj to i posprzątaj – mówię do typa, a ten zaczyna się rzucać i leci do mnie z łapami. Sprzedaję mu jedną bombę, a że jest pijany, to pada. Chcę iść dalej, gdy słyszę:

– Taki jesteś cwany, dawaj ze mną na solo. – Dziewczyna tego chłopaka od kebaba ściąga kurtkę i na serio chce się ze mną bić. Uciekam, bo nie wyobrażam sobie bójkę z dziewczyną.

Inna sytuacja. Spotykam kolesia, który zaczepiał mnie w czasach podstawówki, gnębił mnie i moich rówieśników na podwórku. Był dwa lata starszy. Widzę po jakimś czasie, że nie urósł za bardzo, ma z metr sześćdziesiąt, a ja mam metr osiemdziesiąt sześć.

– O, cześć Miszkiel, co słychać? – zagaja mnie koło galerii Plaza w Suwałkach i opowiada, że jest ochroniarzem.

– Serio, stary, ty ochroniarzem? – nabijam się trochę z niego. A ten od razu skacze do mnie i łapie mnie za gardło.

Nie mam wyjścia, muszę się bronić. Rzucam gościem o ziemię, kopię kilka razy i żeby go upokorzyć, biję nie pięścią, a z liścia po twarzy. W końcu ucieka, a ja mam satysfakcję, że się odegrałem na gościu, który kiedyś mi dokuczał.

W tym czasie szkole bywa różnie. Raz idziemy z chłopakami z klasy na wagary w dniu zajęć praktycznych. Mamy kupione produkty do gotowania, ale piknik to już sobie robimy na tak zwanym Żwirku, sztucznym jezioru w Suwałkach. Kolega przynosi samogon, czyli bimber, i każdemu nalewa po szklance, ale chyba tylko ja wypijam wszystko na raz i... nic więcej nie pamiętam. Budzę się nad ranem w krzakach, bez telefonu, a wracając do domu, rzygam czymś zielonym. Koledzy opowiadają mi później, że smażyliśmy jajka na kamieniu, gotowaliśmy coś na ognisku, a impreza była przednia. Nie dla mnie, bo zaliczyłem odlot i jeszcze w domu awantura, że telefon zgubiłem, rodzice wkurzeni.

Prawda jest taka, że nigdy nie miałem dobrej głowy do alkoholu, jako nastolatek bardzo szybko się upijałem, więc nie piłem dużo, choć impreza nad Żwirkiem świadczy o tym, że zdarzało mi się przesadzić. Dla mnie jednak ważny był sport, ważne były treningi, których nie chciałem opuszczać przez kaca – i dlatego na wielu imprezach byłem totalnie trzeźwy.

Podczas jednej weekendowej imprezy w klubie wpada mi w oko dziewczyna. Zagajam do niej, wymieniamy się kontaktami i umawiamy się po kilku dniach. Spotykamy się, chodzimy na randki, a ja totalnie tracę dla niej głowę. Zakochuję się po same uszy, jak zawsze. Pewnie, jestem kochlwy, ale na swoje usprawiedliwienie dodam, że jestem też wierny i oddany i tego samego oczekuję od partnerki. Niestety dość szybko dochodzi do mnie wieść miejska, że Gosia – tak ma na imię moja nowa wybranka – szuka mnie. Od różnych ludzi słyszę, że widzieli ją na imprezach z nieznanymi kolesiami. Chodzi o wieczory, które rzekomo spędzała z przyjaciółkami. Naprawdę bardzo mi na niej zależy, ale też nie chcę być frajerem, którego ona wodzi za nos.

Kiedy mówi mi, że jedzie do Krasnopola do koleżanki na urodziny, już jej nie wierzę. Zgrywam chojraka, wypijam piwo, wsiadam na rower i po ciemku jadę piętnaście kilometrów sprawdzić, czy ona faktycznie tam jest. Oczywiście żadnej imprezy nie ma, a następnego dnia dowiaduję się, że Gosia z jakimś gościem bawiła się w klubie w innym mieście. Cierpię, bo jestem strasznie zakochany. Kiedy pytam ją, czy to prawda, co nasi wspólni znajomi mówią, wszystkiemu zaprzecza. Łudzę się więc, że może ludzie są zawistni i chcą nas skłócić.

Jest 2 maja 2013 roku. Długi weekend. W planach mamy wyjście na urodziny do przyjaciółki Gosi. Impreza jest organizowana na ogródkach działkowych pod Suwałkami. Piekę tort, kupujemy prezent, idziemy. Na początku jest całkiem miło. Ognisko, grill, na urodzinach kilkanaście osób. Nie wiem, co mnie kusi, żeby sięgnąć po alkohol. Może nie radzę sobie z tą stertą kłamstw i manipulacji Gosi? Po alkoholu robię się odważniejszy i po raz kolejny pytam ją, czy mnie zdradza, prosząc, by była ze mną szczerą. I tym razem jest szczerą, bo mówi, że całowała się z jakimś typem w klubie. Przyznaje się też do tego, że kilka razy mnie okłamała i poszła na imprezę z facetami, których nie znałem. I choć liczę na taką właśnie szczerą, to wpadam w szał. Wściekły krzyczę na nią i płaczę jednocześnie. Podbiegają do nas ludzie, którzy są na tej imprezie. Mówią mi: „Co ty robisz? Weź się ogarnij”. Ktoś rozmawia z Gosią, która tłumaczy, że nie wie, czemu tak się zachowuję. Nie uspokajam się i nadal krzyczę, a wtedy goście z imprezy zaczynają mnie bić. Potykam się, wpadam na grilla, leżę na ziemi, a oni mnie kopią. „Co ja wam zrobiłem?” – pytam. „Co ja wam zrobiłem?” – płaczę. Nie rozumiem, co się dzieje, przecież to ona mnie zdradza, mam prawo być zrozpaczony i zdenerwowany. O co chodzi? Alkohol miesza mi w głowie.

W końcu przestają, nie lecą w moją stronę żadne ciosy. Postanawiam wstać, wziąć plecak i wrócić do domu. Goście z imprezy nie chcą mi jednak oddać moich rzeczy, więc znowu się wściekam, a oni znowu mnie biją. Uciekam. Czuję się jak gównon, głowa pulsuje, wiem, że oberwałem dość mocno, ciężko mi się oddycha, pewnie mam pęknięte żebro, słabo widzę na jedno oko, a jest ciemno, więc biegnę przez las na oślep. „Kurwa, nic

złego nie zrobiłem, czemu mnie bili? Czemu nie chcieli oddać moich rzeczy?” – huczy mi w głowie.

Alkohol mieszał mi w zmysłach. Dziś niewiele z tego pamiętam. Jakieś urwane obrazy, odgłosy i te myśli, które się we mnie kołatały, że życie jest bez sensu, że niczego nie osiągnę, że wiecznie mam rzucane kłody pod nogi, że nie skończę kursu na prawo jazdy, bo jestem pobity, że rodzice będą na mnie źli, że nie dam rady poprawić ocen i znowu nie zdam, że miłość jest do dupy i nikt mnie nie pokocha. Upokorzenie – to wtedy czuję najsilniej. I bezsens mojej egzystencji. A zaraz po tym przychodzi mi do głowy myśl: „Nie chcę już żyć”.

Na mojej drodze stoi słup wysokiego napięcia. Wspinam się na niego bez trudu. Spadam po tym, jak łapię przewody i razi mnie prąd. Nic nie pamiętam. Błysk. Karetka. Patrzę na moją czarną, spaloną rękę. Ciemność.

Później się dowiem, że trafiłem do szpitala w Suwałkach, gdzie moja mama usłyszała: „Nie ma sensu nic robić, bo on i tak umrze”.

Ale mama walczy o mnie i za mnie, dzięki czemu przewożą mnie do szpitala uniwersyteckiego w Białymstoku. Tam lekarze chcą mnie uratować. I to się im udaje. Choć podobno gdy wybudzam się po amputacji ręki, krzyczę na nich: „Kurwa, czemu obcięliście mi rękę?”. Nie pamiętam tego, ale jeśli tak było, to bardzo przepraszam lekarzy, których wtedy obraziłem.

Kiedy mnie ratowali, moje serce zatrzymało się na około minutę, podobno w takich momentach dochodzi do śmierci klinicznej. Ja, choć śniłem, byłem przekonany, że to, co przeżywam, jest realne. Podróżowałem po różnych alternatywnych światach, a było to tak świadome, jak to, co widzę dziś wokół siebie. Każde miejsce, każda sytuacja, w której w tym dziwnym stanie brałem udział, były mocno związane z wydarzeniami budzącymi we mnie silne emocje.

Byłem tortem i ludzie mnie jedli. Byłem samochodem i robiłem prawo jazdy. Biegałem po sali ze starszymi ludźmi. Leżałam na polanie. Te wszystkie stany i obrazy się nawzajem płynnie przenikały. To nie były chwile, momenty, każdy z nich trwał przez dłuższy czas.

Leżałem na cmentarzu w grobie, w miejscu, w którym bardzo lubiłem biegać, na ulicy Reja w Suwałkach. Wcześniej często myślałem, przebiegając tamtędy, że chciałbym być tam pochowany. Wokół grobu stała rodzina, a ktoś odrąbywał mi głowę łopata. W tych snach na jawie byłem też postacią z Minecrafta, w którego często grałem z Gosią – moją dziewczyną.

To były wizje pełne emocji. Nie miałem poczucia, że to mi się śni, byłem pewny, że to się dzieje naprawdę. Przez długi czas nikomu nie opowiadałem, co się ze mną działo, gdy nie byłem świadomy. Bałem się, że wezmą mnie za wariata.

Kiedy się wybudziłem (tak mi się przynajmniej wydawało), koło mojego łóżka stała ciemna postać, która się we mnie wpatrywała. Gdy na nią patrzyłem, chciało mi się spać. Walczyłem jednak z tym, żeby nie zasnąć, bo miałem poczucie, że jak zasnę, to wydarzy się coś złego. Nie mogłem się ruszyć. Ani mówić, bo miałem rurkę w gardle. W końcu dałem za wygraną, a kiedy zasnąłem, zacząłem spadać w otchłań, przeciskałem się przez jakieś kościste postaci. Zatrzymałem się i nagle coś niewidzialnego pociągnęło mnie do góry. Otworzyłem oczy, ta postać nadal na mnie patrzyła, po czym zniknęła, rozmyła się.

„O kurde, chyba Bóg istnieje” – to jest moja pierwsza myśl. Kolejna: „O kurwa, nie mogę się ruszyć”. Na salę wchodzi pielęgniarka, widzi, że się obudziłem. Nie mogę mówić, więc radzi mi, żebym szeptał.

– Mam nogi? Mam penisa? – to moje pierwsze pytania.



ROZDZIAŁ

# 2

## Nic z niego nie będzie



Wielopoziomowe złamanie kręgow z porażeniem kończyn dolnych. Zwężenie ręki prawej, złamane żebra, złamane nogi, poparzenia skóry twarzy i lewego uda, odma płucna. Tak brzmi skrócona wersja diagnozy.

Odzyskuję świadomość dopiero po dwóch tygodniach od wypadku. Budzę się w szpitalu w Białymstoku na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Przychodzą lekarze, rodzice, policja pyta o wypadek, o to, kto mnie pobił, co się wydarzyło wieczorem 2 maja.

Kiedy próbuję o coś spytać, czegoś się dowiedzieć, pielęgniarki instruują mnie, żebym szeptał, a nie starał się mówić normalnie. Tymczasem w głowie mam gonitwę myśli, bo budzisz się, nie pamiętasz, co się wydarzyło, jesteś w szpitalu, nie możesz się ruszyć, nie możesz nic powiedzieć i się zastanawiasz: „Co jest, kurwa, co się stało?”. Kilka dni zajmuje mi uświadomienie sobie, dlaczego jestem w takim stanie, bo wcześniej byłem przekonany, że to, co pamiętam, nie działo się jednak naprawdę, bo jak mogłem doprowadzić do sytuacji, w której doszło do poważnego zagrożenia mojego życia? Nie mieściło mi się to w głowie.

Po wybudzeniu leżę w dwuosobowym pokoju w podziemiach budynku szpitala bez możliwości zobaczenia, co się dzieje za oknem. Spędzę tam kolejne dwa miesiące. Ruszać mogę jedynie lekko głowę w prawo i lewo i wodzić wzrokiem po sali. „Z niego nic nie będzie” – słyszę rozmowę personelu. To o mnie, nie dają mi szansy, ale przecież jeszcze żyję, nie znikam, walczę. Tylko nie wiem, czy przeżyję. Lekarze i pielęgniarki robią wszystko, by mnie ratować, ale podskórnie to czuję: nie są przekonani, że ze szpitala wyjdę żywy. Złamany kręgosłup, amputacja prawej dłoni, martwica w lewej i ryzyko też jej obcięcia, poparzone całe ciało. Jestem jedną wielką otwartą raną.

Na poziomie świadomości – szok, że moje ciało zawodzi, że mój organizm pomimo ogromnej chęci życia, która słabnie tylko momentami, może nie dać rady i nie mam na to w ogóle wpływu, bo nic nie mogę zrobić, nie mogę wstać i powiedzieć: „Hej, już jest okej, wychodzę stąd”. Odliczam kolejne godziny, dni. Otwieram oczy i myślę: „Dobra, stary, jeszcze żyjesz, lecimy w kolejny dzień”. Próbuję siebie samego dopingować, ale bywa, że dopada mnie bezsens tej egzystencji. Nie mam pojęcia, co ze mną będzie, czy przeżyję, a jeśli przeżyję, to czy będę umiał żyć z niepełnosprawnością. To, że będę osobą z niepełnosprawnością, jeszcze do mnie wtedy zresztą nie dociera.

Lekarze coś o mnie mówią, ale nie jestem w stanie zrozumieć, jak bardzo poważny jest mój stan, bo rodzice cały czas powtarzają, że wszystko będzie dobrze, ja sam też sobie tłumaczę, że przecież z tego wyjdę, że to tylko takie gadanie, a jak stanę na nogi, to wrócę do swojego życia. Jestem przekonany, że będę chodzić, w mojej głowie nawet nie pojawia się myśl o wózku. Wyobrażam sobie tylko, że będę miał protezę ręki, jak na filmach, i będę sobie ruszał palcami jak robot, więc w gruncie rzeczy to żadna tragedia, wręcz przeciwnie, posiadanie protezy ręki może być nawet fascynujące. Nie mam pojęcia, jak brutalna w moim przypadku okaże się rzeczywistość.

Przez pierwszy miesiąc na OIOM-ie urozmaiceniem każdego dnia są dla mnie regularnie pojawiający się inni pacjenci. Przywożą mężczyznę, którego kładą obok mnie. Jest zamieszanie, lekarze i pielęgniarki biegają wokół niego, widzę, że starają się uratować mu życie. Nie udaje się. Dla mnie takie sytuacje przez jakiś czas będą jedyną rozrywką. Nie mogę nic mówić, z nikim rozmawiać – wszystko przez tracheotomię, dziurę w gardle, w której tkwi rurka. Zresztą pod respiratorem spędzam pierwsze dwa miesiące po wypadku. Mam odmě, a do tego zwęglone płuca, o których nie wiadomo, czy w ogóle się zregenerują.

Jestem karmiony przez sondę. Wkurza mnie przewód, który mam w ustach, ze złości przegryzam go kilka razy, dając w ten sposób wyraz mojemu zniecierpliwieniu i frustracji, aż w końcu wkładają mi rurkę do nosa. „Może jak nie będę oddychać, to się uduszę” – myślę, gdy dopada mnie kompletna beznadzieja. Ale to się nie udaje, bo przecież oddycha za mnie respirator.

Najgorsze jest mycie. W szpitalu pojawia się problem z hydrauliką, więc pielęgniarki co rano polewają mnie lodowatą wodą, bo cieplej nie ma. Golą mnie tępyimi maszynkami, jestem wiecznie pozacinany na twarzy. Ale żeby nie było, że tylko narzekam – są też plusy leżenia na OIOM-ie: wypasione łóżko, które ma super materac i wbudowany masażer. Pielęgniarki pytają, jaki tryb mi włączyć, ja im pokazuję i od razu robi się miło. Dzięki materacowi i świetnej opiece nie dostaję odleżyn. O tym, jakim problemem są odleżyny i jak ich unikać, dowiem się w kolejnych latach z własnego doświadczenia.

Cały czas mam jakieś badania, aż w końcu przestają je zapamiętywać. Co dla mnie ważne, ściągają specjalistkę od przeszczepu skóry, bo chcą ratować moją poparzoną lewą rękę. Pani doktor proponuje: jeśli nie uda się przeszczepić mojej skóry, to można spróbować ze sztuczną albo ze skórą świni. Proponuje też leczenie „muchami”, żeby te wyjadły martwicę. Pomysłów jest dużo, a ja zdecydowałbym się na każdy, byleby uniknąć kolejnej amputacji. W ogóle lekarze ze szpitala uniwersyteckiego to kozaki. Poskładali mnie, choć przecież wcale nie musieli, i położyli podwaliny pod to, jak dziś funkcjonuję. Jestem im za to ogromnie wdzięczny.

Czy można mieć dobre wspomnienia z pierwszego miesiąca po wypadku? Ja mam jedno i wiąże się ono z propofolem – lekiem, którym usypiają mnie przed każdym zabiegiem, nawet przy zmianie opatrunku. Podawany dożylnie, działa szybko i jest metabolizowany w dziewięćdziesięciu procentach w wątrobie. Pozwala na uspienie pacjenta w pół minuty i wybudzenie go nawet po czterech minutach. Ta biała emulsja... Czuję dreszczyk emocji, gdy słyszę, że znowu mi go podadzą. Nie mogę się doczekać tej chwili błogiej przyjemności, gdy odpływam i mogę o wszystkim zapomnieć, zrzucić z siebie na chwilę cały ten szpitalny syf i świadomość mojego stanu, pograć się w nicości. Uzależniam się od propofolu. Gdybym był słabszy psychicznie, pewnie bym po niego sięgał i dzisiaj, mając taką możliwość.

W szpitalu w pierwszych tygodniach dostaję go codziennie po kilka razy. Są tego minusy, bo po wybudzeniu następuje spadek nastroju, do-

pada mnie smutek, że najlepsze za mną i nic ciekawego już się w najbliższym czasie nie wydarzy. Kiedy propofolu nie ma w moim organizmie, trzęsę się z zimna, zresztą na OIOM-ie często mi jest zimno, dają mi koce termiczne, chociaż jest lato. Później dowiaduję się, że to efekt dużego ubytku krwi i infekcji, które cały czas mnie męczą.

Co jest najgorsze? Gapienie się w sufit. Od tego serio możesz zwariować, zupełnie postradać zmysły. Wyobraź sobie, że leżysz przez dwanaście godzin ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt nad tobą. Nic się nie dzieje, nie ruszasz się, tylko leżysz. Nie chce ci się spać, bo ile można. Nie możesz mówić, nie możesz się podnieść do pozycji choć w minimalnym stopniu półleżącej. Łóżko, ty i sufit. Nic pomiędzy, nic z boku. Mówię o dwunastu godzinach. Ja tak leżę kilka tygodni.

Przed szaleństwem ratuje mnie tata. Mama w tym czasie już mieszka w Białymstoku, wynajmuje mieszkanie, żeby nie musieć dojeżdżać z Suwałk i być jak najwięcej ze mną, bo wiadomo, że nie może spędzać całej doby w szpitalu. Po miesiącu mojego pobytu na „intensywnej” tata wpada na genialny pomysł. Sam wymyślił i zespawał specjalny wysięgnik, który umożliwia umieszczenie centralnie nad moją głową małego telewizora. Personel szpitala zgadza się na tę rozrywkę i odtąd moje życie diametralnie się zmienia. Oczywiście w podziemiach nie ma internetu, nie ma też telewizji, ale tata przynosi mi nagrane na pendrive’ach filmy, seriale, koncerty.

Przez kolejne cztery tygodnie *Kompanię braci*, *Spartakusa*, *Jestem legendą* oglądam po kilka razy. Są też polskie klasyki: *Chłopaki nie płaczą*, *Kiler*. Pielęgniarki przychodzą, zmieniają pendrive’a i wszystko leci w kółko, non stop. Ta powtarzalność wcale mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie – ratuje mi życie. Fakt, że mogę oderwać myśli od swojego stanu, że mam jakąś alternatywę, że jestem w stanie zająć głowę czymś innym niż szpitalną rzeczywistością i zabiegami wokół mnie, sprawia, że jestem w lepszym stanie psychicznym. Ktoś powie, że ucieczka przed trudnym doświadczeniem w świat filmów nie jest dobrym wyjściem? Spoko, to połóż się na OIOM-ie, posłuchaj, jak wszyscy wokół mówią, że nie przeżyjesz, i zmierz się w tym czasie z tym, co cię spotkało. Powodzenia.

Miesiąc po wypadku to też czas, kiedy zaczynam się zastanawiać, co ze mną będzie, i mierzyć się z tym, w jakim stanie faktycznie jestem. W drugim miesiącu przychodzi już regularnie rehabilitant, bo zaczęły się u mnie pojawiać przykurcze kończyn. Nic zresztą dziwnego, jak człowiek leży i przez sześć tygodni się w ogóle nie rusza. Rehabilitant fajny, opowiada mi zboczone kawały, lubi chodzić na strzelnicę tak jak ja, więc mamy jakiś wspólny temat, choć ciężko naszą komunikację nazwać rozmową. On gada, a ja albo mrugam oczami, albo szepczę: „aha”, „mhm”. Jednego dnia mówi do mnie: „Pewnie się zastanawiasz, czy będziesz mógł uprawiać seks”, więc mu przytakuję. Na to on: „Oglądaj dużo filmów pornograficznych, stymuluj penis” – mówi, a dla mnie to jakaś abstrakcja, moje libido jest przecież równe zero i jeszcze długo na tym poziomie będzie, a wtedy nawet ręką nie mogę ruszyć, a drugiej przecież nie mam. Ale tę ceną, jak się okaże, radę wykorzystam w odpowiednim czasie.

Częściej niż inni odwiedza mnie też jeden z lekarzy. Przychodzi zazwyczaj nocą, gdy ma dyżur. Siada, opowiada mi o swoim życiu. Wbija mi igłę pod paznokcie w stopach. „Czujesz?” – pyta, a gdy zaprzeczam, mówi: „Spoko, będzie dobrze”. Pewnej nocy przynosi czekoladę: „Masz ochotę?”. Oczy mi się świecą, bo od tygodni jestem na sondzie i marzę o czymś normalnym do zjedzenia, więc wkłada mi do ust kostkę czekolady. Krztuszę się, boję, że zaraz się uduszę, ale jak udaje mi się ją przełknąć, jestem na maksa szczęśliwy. Taka mała, ale jakże ważna radość.

Pewnego dnia na OIOM-ie jako pacjent pojawia się ksiądz, nie wiem właściwie, co mu jest, ale jego stan dość szybko się poprawia, więc personel pozwala mu chodzić po oddziale i rozmawiać z pacjentami. Przychodzi też do mnie. Chcę wysłuchać, co ma do powiedzenia, bo cholernie boję się śmierci i w końcu przez chwilę po wybudzeniu uwierzyłem w Boga, szybko jednak okazuje się, że ksiądz potrafi tylko odmawiać nade mną modlitwy, trochę jak zaklęcia szamana. Pyta jedynie, czy żałuję za grzechy. Nie żałuję, na pewno nie za wszystkie.

Nadal nie wiem, co ze mną będzie, bo niby stan zagrożenia życia miął, ale jakie są rokowania? Nie podają mi żadnych konkretów. Jednak w tym drugim miesiącu na OIOM-ie wstępuje we mnie nadzieja. Wpływ na

to na pewno mają filmy z pozytywnym przekazem, w których – wiadomo – bohater przewycięża wszelkie trudności i z największego syfu wychodzi zwycięsko. Poza tym wszyscy wokół mówili, że umrę, a ja jednak żyję, co więcej, słyszę, że niedługo przewiozą mnie na ortopedię. Ludzie wokół dają mi wsparcie, czuję ich wiarę w to, że mi się uda – kurde, jakie to jest ważne! Bo ja, pomimo tego, co zrobiłem, zawsze byłem osobą, która starała się znaleźć wyjście z najbardziej beznadziejnej sytuacji. Gdyby nie alkohol wtedy, w tamten wieczór, dziś nie byłoby tej książki, bo nie byłoby mojej historii jako osoby z niepełnosprawnością. Mam tego cholerną i bolesną świadomość.

Nim przeniosą mnie na ortopedię, muszą odłączyć respirator. Jest ranek, kiedy słyszę, że to już, i jestem w szoku, bo jak to: od teraz bez tej rurki będę oddychał? Pojawia się zarówno euforia, jak i strach, bo co, jak się zaczną dusić, jak się okaże, że jednak nie jestem w stanie samodzielnie oddychać? Całe życie pod respiratorem? No fucking way.

Oddychanie dla każdego jest czymś tak naturalnym, że nikt nie zwraca na tę czynność uwagi, chyba że pracuje nad świadomym oddechem podczas jogi czy medytacji. Dla mnie odłączenie od respiratora okazuje się nauką oddychania.

Na początek odłączają mnie tylko na kilka minut. „Oddychaj z całej siły, nabieraj jak najmocniej powietrza” – instruują i powtarzają to co chwilę. Kiedy mam sam złapać oddech, duszę się. Nabieram powietrza, wydaje mi się, że do głębi płuc, ale to raptem jeden malutki wdech i jeden malutki wydech, jestem jak ryba wyrzucona na brzeg, która z trudem łapie powietrze. Dociera do mnie, że muszę przyzwyczaić ciało do samodzielnego i naturalnego oddychania. Jak pielęgniarki i lekarz odchodzą i zostawiają mnie bez rurki, wpadam w panikę. „Co to będzie?” Nie śpię z obawy, że we śnie zapomnę oddychać. Oddycham, wykonuję tę czynność świadomie, kontroluję ją cały czas, ciężko się jednak oddycha, kiedy się nie ma władzy nad mięśniami swojego ciała. Moje po dwóch miesiącach bezruchu są niemal bezużyteczne, muszą sobie na nowo przypomnieć, do czego służą, i zacząć się odbudowywać.

W tym czasie w szpitalu dochodzi do jednej mało przyjemnej dla mnie sytuacji. Kiedy mają wyciągnąć mi dreny z płuc, na sali zjawia się tłum studentów. Nikt mnie nie uprzedza, nikt nie pyta o zgodę. Dobra, wiem, że studenci medycyny muszą się uczyć na konkretnych przykładach, a nie tylko z podręczników, jednak źle mi z tym, że włączają do mojej sali kiedy leżę ubrany tylko w pieluchę, nie mówiąc ani „dzień dobry”, ani „pocałuj mnie w dupę” – nic. Stoją i gapią się, jak mi te dreny wyciągają. Cóż, świetnie, mam świadomość swojej bezradności, ale ta sytuacja jeszcze bardziej mi o niej przypomina, raczej niepotrzebnie.

W szpitalu nabywam nową umiejętność, otóż uczę się odróżniać smak kroplówek, co jest pewnie kwestią wyostrenia zmysłów. Kroplówka przeciwbólowa – gorzka. Słodkie uczucie w ciele wywołuje natomiast podawanie krwi. Lubię zgadywać, co pielęgniarki mi podłączają i – co ciekawe – nigdy się nie mylę.

W końcu przychodzi dzień, kiedy na stałe odłączają mnie od respiratora, ale zapobiegawczo zostawiają dziurę w szyi, żeby, gdyby tylko coś się złego działo, mogli mnie natychmiast podłączyć. Po dwóch miesiącach wychodzę z OIOM-u i... trafiaam na oddział ortopedyczny.

Nie czuję się komfortowo z tą zmianą miejsca zamieszkania. Boję się. Na ortopedii dostają gówniane łóżko bez materaca przeciwoleżynowego. Umieszczają mnie w izolatce, bo nadal mam pełno otwartych ran i istnieje obawa, że czymś się zarażę albo dopadnie mnie sepsa. Słabo by było, gdybym po intensywnej zmarł na ortopedii. Ta izolatka to w gruncie rzeczy super sprawa, za kilka tygodni jeszcze za nią zatęsknię.

Rodzice walczą, żeby załatwić mi odpowiednie specjalistyczne łóżko, bo przecież nie po to mnie lekarze i pielęgniarki na OIOM-ie wyprowadzali na prostą, żebym teraz utknął z odleżynami i wywołaną przez nie martwicą, która oczywiście i tak mi się przytrafia. Udaje się, tydzień później mam upragnione łóżko, co więcej, do ręki dostają pilota, który pozwala mi ustawiać oparcie i lekko się pionizować. Lekko, to dla zobrazowania tyle, co minimalnie uniesienie głowy w pozycji leżącej. Muszę uważać, bo jak za wysoko się podnoszę – mdleję, tak bardzo moje ciało przyzwyczało się do pozycji leżącej.



Do izolatki trafia też mój telewizorek. Już nie musi wisieć mi nad głową, znajduje swoje miejsce na stoliku kupionym przez rodziców. Poza tym na ortopedii w końcu jest normalna telewizja, podłączają mi antenę i dowiaduję się, co słychać w kraju i na świecie. Czuję się trochę tak, jakbym wrócił z podróży w kosmos. Telewizja na kolejne tygodnie staje się moim oknem na świat.

Rodzice przynoszą mi też telefon, bo powoli wracają mi zdolności manualne w lewej ręce. Nie żeby było kolorowo, bo początkowo nie mam pełnego czucia w dłoni i nie wszystkimi palcami mogę ruszać. Ręka jest tak mocno uszkodzona, że mózg musi na nowo nawiązać połączenia nerwowe. Czeka mnie jej długa rehabilitacja.

Kiedy leżę na ortopedii, dostaję też od rodziców laptopa, wtedy do szczęścia nic więcej mi nie potrzeba, choć bardzo mnie wkurza, jak lekarze gadają: „No tak, teraz to już tylko telefon i komputer, lepiej, żeby się rehabilitował, a nie siedział tylko wgapiony w ekran”. Nie mają racji. Kontakt ze światem zewnętrznym jest ważny dla mojego zdrowia psychicznego. Kurde, mam dziewiętnaście lat, należę do pokolenia wychowanego w epoce internetu, z wirtualnymi kontaktami z ludźmi. Nawet namiastka dawnego życia działa na mnie motywująco, bo chcę jak najszybciej wrócić do tego, co straciłem, i wyjść z tego cholernego szpitala. Ale lekarze tego nie rozumieją. A nawet granie w proste gry karciane na laptopie ma na mnie zbawienny wpływ, bo pozwala zregenerować się układowi nerwowemu, odpocząć od presji, napięcia i niepokoju, które mi cały czas towarzyszą i bywają wykańczające – nadal przecież nie wiem, co mnie czeka, jak w końcu wypiszą mnie do domu.

Poza tym nie możesz cały czas się rehabilitować, musisz odpocząć, więc w przerwach między ćwiczeniami i zabiegami rozmawiam przez Skype'a ze znajomymi, dzwonię do rodziców, do brata. Czytam o niepełnosprawności, szukam kogoś z podobnymi urazami, jak moje, ale to się akurat nie udaje. W tym jednym okazałem się wyjątkowy. Wtedy śledzę też historię Beaty Jałochy, trenerki fitness, na którą spadł mężczyzna, który wyskoczył z budynku, chcąc popełnić samobójstwo. Kobieta ma złamany kręgosłup.

Dzięki internetowi poznaję trochę świat osób z niepełnosprawnościami. Dowiaduję się, że istnieją fundacje pomagające takim ludziom, że

osoby na wózkach grają w koszykówkę, pływają. Moja świadomość jako osoby z niepełnosprawnością zaczyna nabierać realnych kształtów. Nie buntuję się, szukam rozwiązań, miejsca dla siebie. Kiedy widzę, że na wózku można uprawiać sport, bardzo się do tego pomysłu zapalam. W końcu sport był moją największą pasją, a okazuje się, że niepełnosprawność wcale nie musi mi jej odebrać.

Ale nie tak szybko. Trzymiesięczny pobyt na ortopedii niewiele ma wspólnego ze stawianiem mnie na nogi. To jeszcze nie ten czas. Uzbrajam się w cierpliwość i oswajam rutynę szpitalną, żeby nie zwariować. Rano obchód, lekarz mówi, co zaleca, jakie leki należy podać, jakie badania przeprowadzić. W ciągu dnia krótka rehabilitacja w sali, gdzie leżę. Macham trochę nogami i tyle, nie mam zbyt wielu możliwości, żeby ćwiczyć. Na szczęście rodzice znajdują dla mnie fizjoterapeutę, który przychodzi co drugi dzień. Zdradza mi dużo ciekawostek, tłumaczy, po co coś robimy, do czego dane ćwiczenia mają doprowadzić, na jaki efekt mogą liczyć.

Każą mi też obstukiwać lekko kikut palcami, a po zdjęciu szwów po amputacji pielęgniarki muszą odpowiednio owijać go bandażami i modelować, żeby można było na niego założyć protezę. Obcięta mam prawą rękę poniżej łokcia.

Po dziewięćdziesięciu dniach od wypadku w końcu wyciągają mi sondę! Mówię do mamy: „Chcę kebab i pizzę!”. Nie no, żart. Wiadomo, że najpierw jem jakieś kaszki, kleiki. Jedzenie nie sprawia mi wówczas za bardzo przyjemności, bo nadal mam dziurę w szyi, którą jedzenie częściowo mi wylatuje. Do tego często zalega mi w tym miejscu ślina i muszę prosić pielęgniarki o jej odessanie. Nie wszystkie są chętne do pomocy, to znaczy jedna jest mało chętna. Kiedy dzwonię w nocy, bo czuję, że zaraz zacznę się dusić, ona wchodzi, patrzy, w czym problem, i odwraca się na pięcie, pokazując tym samym, że ma mnie w dupie. RzUCA jeszcze: „Naucz się w końcu sam przełykać”. Szkoda, że nie pamiętam, jak się nazywała ta pielęgniarka... Na szczęście w jedną z takich nocy wpada znajomy lekarz, który akurat nie ma co robić – spać, jak mówi, nie może – więc chodzi po szpitalu. Zagląda do mojej izolatki i widzi mnie całego zaplutego. Dopiero on mi pomaga.



Po przeszczepie skóry. W szpitalu z babcią.

Męczy mnie jedna rzecz. Kiedy powoli odzyskuję władzę w lewej ręce, zapada decyzja, by na jej ramię i przedramię przeszczepić skórę z prawego uda. Po przeszczepie pakują tę rękę w gips na miesiąc, ale nie wyprostowaną tylko zgiętą w wąską literę V. Trzeba bardzo uważać, żeby przeszczepiona skóra nie została w żaden sposób naruszona, bo wtedy może się nie przyjąć, a mnie swędzi ramię pod gipsem i nie mogę nic zrobić. Nie wiem, co się dzieje z tą ręką, jak wygląda moja skóra. Kiedy po miesiącu gość ściąga mi gips, modłę się, żeby tylko niczego nie naruszył, a co tam zobaczymy, jest jedną wielką niewiadomą. I fakt – ręka po ściągnięciu gipsu wygląda paskudnie. Cienka skóra, pod którą widać ścięgna, kości. Lekarz jednak z pełnym przekonaniem stwierdza, że jest dobrze, że przeszczep się udał. Jest! Udało się! Hurra! „Ale chyba nigdy nie wyprostujesz tej ręki” – padają słowa, które są jak wiadro lodowatej wody. Co? Słyszę, że po gipsie mam przykurcz lewej ręki i faktycznie nie mogą nią ruszyć, cały czas jest w pozycji litery V – zgięta ani drgnie. Świetnie: nie mam prawej dłoni, a gdy mowa o lewej ręce, lekarz nie wierzy, że kiedykolwiek będzie sprawna. To już mogli mi ją obciąć...

Na szczęście nie mam za wiele czasu na użalanie się nad sobą. Rehabilitacja, choć niemrawa, to jednak pcha mnie trochę do przodu. Pewnego dnia rehabilitant, ten opłacony przez rodziców, sadza mnie na łóżku i każe spuścić nogi w dół. Wow, siedzę, choć zaledwie po kilku sekundach kręci mi się w głowie, mam mroczki przed oczami, walczę jednak ze sobą, żeby wytrzymać jak najdłużej.

Oczywiście nie szaleję z ćwiczeniami. Na ortopedii musi mi wystarczyć lekka pionizacja, ostukiwanie kikuta, ćwiczenia na zachowanie zakresu ruchu. Jest fajnie, gdy przychodzą do mnie studenci, którzy towarzyszą rehabilitantom, mam wtedy z kim pogadać, pośmiać się. Poza tym odwiedzają mnie ludzie z OIOM-u, bo cały czas są ciekawi, co u mnie słysząc, jak się czuję. Nigdy im tego nie mówię, ale ma to dla mnie ogromne znaczenie.

Pani Ania, anestezjolog z intensywnej, która już tam często ze mną rozmawiała, przyprowadza do mnie córki, nastolatki, które z kolei przyprowadzają swoje koleżanki. W końcu rozmawiam z rówieśnikami, mamy wspólne tematy. Z wieloma z tych osób mam kontakt do dzisiaj. Czuję ogromne wsparcie, to jest coś niesamowitego, coś jak fala, na której za-

czynasz płynąć, która daje niezwykłą siłę i chęć do podejmowania codziennej walki o siebie, bo wiesz, że są ludzie, którzy w ciebie wierzą, i nie chcesz ich zawieść. Ludzie, którzy są wokół ciebie, gdy jesteś po wypadku, i którzy nie skupiają się na nieszczęściu, jakie cię spotkało, ale na tym, co jest tu i teraz, to ogromna wartość. Jeśli macie kolegę, przyjaciela, który uległ wypadkowi, nie wahajcie się go odwiedzić. Nie przejmujecie się, że nie wiecie, co powiedzieć, jak się zachować. Idźcie, uśmiechajcie się, opowiedzcie, co u was, a szybko poczujecie się naturalnie. Zrobicie w ten sposób wiele dobrego!

Na ortopedii, pomimo coraz lepszego stanu psychicznego, fizycznie jestem bardzo słaby. Powodem jest chociażby samo jedzenie. Gdybym jadł tylko to, co dawali mi w szpitalu, to bym umarł. Serio. Dostaję między innymi plasterki mięsa, trochę keczupu, maselko i kawałek chlebka. Te posiłki nie mają żadnej wartości odżywczej. Kurde, mam zdrowieć, a nie mam budulca, który mi w tym pomoże. Wiadomo przecież, że dzięki odpowiedniemu jedzeniu człowiek szybciej dochodzi do zdrowia. Na szczęście mam rodziców, którzy kupują i przynoszą mi owoce, warzywa i bardzo słodkie nutridrinki. Ale co z tymi, którzy takiego wsparcia nie mają? Myślę o tym dość często.

Nim zacznę jeść w miarę normalnie, przez jakiś czas karmi mnie jak dziecko pielęgniarka. Moje ciało musi się na nowo przyzwyczaić do jedzenia. Na początku miksują mi wszystko, dostaję małe porcje, bo po trzech miesiącach karmienia sondą mam skurczony żołądek, przez długi czas nie mogę na przykład pić nic gazowanego, żebym sobie krzywdy nie zrobił. Moje osłabienie wynika też z tego, że non stop męczą mnie infekcje układu moczowego, cewnik to świństwo, zwłaszcza gdy nie wymienią ci go w odpowiednim momencie. Infekcje wiążą się oczywiście z gorączką, więc jest niby lepiej, ale nadal jestem w ciemnej dupie.

Na oddział ortopedyczny przychodzi ksiądz. Z katolickim nie chcę rozmawiać, bo klepie tylko formułki wyuczone na pamięć, za to świetnym gościem okazuje się ksiądz prawosławny – pop. Przynosi książki, czyta mi je, na kilka tygodni staje się ważną osobą w mojej szpitalnej codzienności. Opowiadam mu, jak wyglądało moje życie wcześniej, co mi się przytrafiło.

On tego nie roztrząsa, nie chce, żebym pogrążał się w smutku, kieruje raczej moje myśli ku przyszłości, ku temu, co przede mną, co mogę zrobić, osiągnąć, jakie cele zrealizować. Ma bardzo pozytywną energię. Biorę od niego nawet ten chlebek, który prawosławni przyjmują podczas uroczystości religijnych.

Psycholog? Tak, przychodzi raz, kiedy już mogę mówić.

– Czy czujesz ból? – pyta. – A dlaczego czujesz ból? W jakiej jesteś sytuacji? – ciągnie.

Ja pierdolę. Przepraszam, ale ten człowiek irytuje mnie samym swoim wyglądem, nie mówiąc już o pytaniach.

– Odmawiam rozmowy – ucinam to od razu, a psycholog nie nalega, żebym jednak skorzystał z jego pomocy.

Wiem, że nie chcę w niczym grzebać, nie potrzebuję tej psychoterapeutycznej gadki. Dla mnie terapią jest rodzina, terapią są ludzie, którzy mnie odwiedzają, lekarze, pielęgniarki, rehabilitanci. To mi daje psychiczną równowagę. Jasne, wiem, że dużo zależy też od psychologa, ale ten szpitalny był zupełnie nietrafiony.

Co ważne, nie opuszcza mnie nadzieja, choć można by pomyśleć, że nie mam powodów do pozytywnego myślenia. Pięć miesięcy w szpitalu – nie prostuję ręki, walczę z infekcjami, mam problem z pionizacją, uczę się jeść, chociaż oddycham już swobodnie. Nie będę udawał twardziela: zdarzają mi się słabsze momenty, gdy wydaje mi się, że moje położenie jest beznadziejne. Ale z drugiej strony nie jestem ślepy, przecież widzę, że jest coraz lepiej, sam sobie udowadniam, że mogę z tego gówna wyjść. Czy myślę, że już na zawsze będę na wózku? Gdy jestem na ortopedii – nie. Dopiero kilka tygodni później zrozumiem, że mój stan się nie zmieni i że mogę walczyć jedynie o jak największą samodzielność. Uprawiałem sport, moje mięśnie pamiętają, do jakiego wysiłku są zdolne, więc obiecuję sobie, że dam z siebie wszystko.

Po trzech miesiącach spędzonych na ortopedii przychodzi czas na zmiany. Lekarze mówią, że czas przenieść mnie na oddział rehabilitacyjny. Dzięki tej decyzji pierwszy raz od wypadku jestem na dworze, kiedy przewożą mnie do szpitala wojewódzkiego w Białymstoku. Jakie to cudowne

uczucie, słońce, wiatr na twarzy, rety, że też człowiek nie docenia tego, co ma na co dzień na wyciągnięcie ręki.

Na rehabilitacji już nie mam izolatki, trafiam na salę z innymi pacjentami, po raz pierwszy od pięciu miesięcy. Nie jest łatwo, nagle ktoś mlaska, ktoś chrapie, pierdzi, gada, szura nogami... Muszę się dostosować, więc zakładam słuchawki, włączam laptopa i odcinam się od szumu sali szpitalnej.

Trochę znam już ten schemat, więc najpierw poznaję personel, fajni ludzie, dowiaduję się, co mnie tam czeka. Najważniejsze to odzyskać sprawność lewej ręki, już na ortopedii intensywnie ćwiczę nad jej prostowaniem. Kiedy będę wychodził ze szpitala, lekarz, który zawyrokował, że nigdy jej nie wyprostuję, nie będzie mógł wyjść z podziwu, że mi się udało, że niemożliwe stało się możliwe. Poza tym ciężko ćwiczę nad pionizacją, nad każdą partią mięśni. Dostaję łóżko, w którym mogę się podnieść do pozycji stojącej. Personel mi ufa, stawia łóżko na korytarzu – ja się pionizuję za pomocą pilota, oni robią inne rzeczy, mając mnie na oku. A ja na oku mam lodówkę, bo jak „staję”, to ona jest w zasięgu mojego wzroku i gdy pielęgniarka ją otwiera, widzę, co kto ma odłożone do jedzenia.

Terapia zajęciowa na oddziale rehabilitacyjnym to głównie malowanie, rysowanie i ćwiczenia manualne. Tak naprawdę wracam tam do czasów przedszkola, ale nie narzekam, bo zajęcia prowadzą dwie super dziewczyny, może ze trzy lata starsze ode mnie, znajdujemy wspólny język, więc jest dobra energia, aż się chce pracować. Cel jest jasny – muszę sobie wyrobić umiejętność pisania lewą ręką. Z czasem odzyskuję w niej taką sprawność, że pałeczkami do chińskiego jedzenia przekładam ziarna fasoli do kubeczków w tempie, które na przykład dziś jest dla mnie nieosiągalne.

Czuję się, jakbym rodził się na nowo. Uczę się smarować kromki mąsem, kroić warzywa i owoce. Wszystkim się chwalebę, że sam zrobiłem sobie kanapkę i ją zjadłem, dzwonię do rodziców, brata, każdy się cieszy, jakbym co najmniej wszedł na Mount Everest.

Przez pięć miesięcy pobytu w szpitalu nie mogłem się umyć jak normalny człowiek, pielęgniarki myły mnie cały czas chusteczkami, myjkami.

To na oddziale rehabilitacji w końcu wzięłem pierwszy od wypadku prysznic. Posadzili mnie na krzeselku, puścili wodę... To było euforyczne przeżycie, umocniło mnie w przekonaniu, że wracam do normalności. Jasne, towarzyszyły mi osoby z personelu, bo ktoś musiał mnie podtrzymać, umyć, ale to nie miało znaczenia. Miałem mokre włosy, czułem zapach mydła, szamponu. Ekstaza.

Kolejny ważny krok to korzystanie z „traktora” – tak nazywam szpitalny wózek, toporny, ze słabo napompowanymi kołami, na który w końcu mnie sadzają. Rodzice obiecują, że po wyjściu kupią mi elektryczny, ale ja nie chcę. Już od pewnego czasu inspirują mnie niepełnosprawni, których historie znalazłem w internecie, a którzy jeżdżą na wózkach długie dystanse, podróżują, przemierzają świat, biorą udział w maratonach. Jeśli zostanę na wózku, też tak chcę! Ale teraz próbuję poruszać się na tym szpitalnym. Z Wojtkiem Sawczukiem – fantastycznym fizjoterapeutą, z którym pracuję już kolejny tydzień – wpadamy na pomysł, by na kikut założyć gumową rękawiczkę, chroniąc go w ten sposób przed obtarciem, i odpychać się lewą ręką oraz tym, co mi zostało z prawej. To nic, że jestem wygięty jak pyłajnik, najważniejsze, że samodzielnie się poruszam! To kolejne fantastyczne uczucie, zwłaszcza że z czasem, gdy wszyscy widzą, jak sobie radzę, mogę już sam jeździć po korytarzu. Uwaga: mogę nawet zjechać windą na dół, postać na dworze, przy wejściu do szpitala, i wypić tam kawę!

Wojtek – fizjoterapeuta – przychodzi do mnie po godzinach swojej pracy. W szpitalu jest salka, w której ćwiczymy. Robię między innymi przewroty na bok, na plecy, ćwiczę ogólną mobilność. Fizjoterapia sprawia, że osiągam względną samodzielność ruchową. Wojtek dużo jeździł za granicę, szkolił się cały czas, pamiętam, że przywoził mi colę, stodycze. Zaprzyjaźniliśmy się i mamy cały czas kontakt, choć już nie taki częsty.

Żeby wyjść ze szpitala, muszę pozbyć się stałego cewnika, więc w pewnym momencie dostają cewniki jednorazowe. To rozwiązanie wiąże się jednak z pewną niedogodnością. Polega ona na tym, że cewnik może założyć tylko lekarz i jak chce mi się siku, muszę na niego czekać, nawet jeśli wokół mnie jest kilka pielęgniarek, które doskonale umieją cewnikować pacjenta. Absurd polega na tym, że pielęgniarka nie może tego zrobić. Wkurza mnie to, bo podczas pobytu w szpitalu mojego penisa dotykają



chyba wszyscy – kobiety, faceci – zresztą setki kobiet widziały mnie w tym czasie nago, a jednak cewnik może założyć mi tylko lekarz. W pewnym momencie proponuję, że zacewnikuję się sam. Pielęgniarki i lekarz nie wierzą, że dam radę zrobić to jedną ręką, a jednak udaje mi się! Od tego momentu mogę sikać, kiedy mam na to ochotę, co za ulga i... kolejny kamyczek do piramidy samodzielności. Każda taka pozornie mała rzecz ma dla mnie ogromne znaczenie.

Na rehabilitacji spędzam w sumie miesiąc i jest to też ostatni miesiąc mojego pobytu w szpitalu. Dziś mogę powiedzieć, że dla mnie najlepszą terapią było samo życie. Siedzenie i gadanie zawsze mnie dołowało. Owszem, jak coś w życiu zawalę, to najpierw jest refleksja i analiza, ale chwilę później zaczynam działać. Wypadek sprawił, że musiałem szybciej dorosnąć, i nauczył mnie też, czym tak naprawdę jest niepełnosprawność, zintegrował mnie z nią. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak wyglądają ruchowe ograniczenia, jak funkcjonują ludzie na wózkach. Moje pojęcie o niepełnosprawności przed wypadkiem? Kiedyś umówiłem się z dziewczyną, która miała obcięty palec i już to było dla mnie dziwne i trudne do zaakceptowania... Kiedy byłem pełnosprawny, ten temat dla mnie nie istniał, a chcąc komuś dokuczyć, kogoś wyśmiać, żartowałem nawet czasami: „Ty to jesteś jakiś niepełnosprawny”.

Do domu ze szpitala wypuścili mnie tuż przed Świętami Bożego Narodzenia...